

# KRAINA POWIEŚCI

BEZPŁATNY DODATEK POWIĘSCIOWY - WYCHODZI 2 RAZY W TYGODNIU

## SIEROTY

POWIEŚĆ Z NIEDAWNYCH CZASÓW

8

— Słyszałem — odrzekł Brodzki — i właściwie dla tego właśnie przybywam do ciebie najprzód, ażeby się z tobą ucieszyć z pomyślnego zakończenia sprawy, a potem ażeby ci się zapytać, czybyś teraz nie przyjął posady w Ameryce, którą ci już przed kilku miesiącami zachwalałem.

Wyobrażam sobie, że choć sąd cię uwolnił, to jednak proces sam musiał ci zbrzydzić twoją posadę tutaj i może teraz więcej okażesz ochoty pojechać za morze po szczęście.

— Mój kochany Władku, — odpowiedział Wilkus, zdaje mi się, jakoby cię Opatrzność Boska w tej chwili do mnie przysłała. Przed momentem rozstałem się na zawsze z moją posadą. P. Gilas podejrzewał mnie, że ukryłem model nowej maszyny, dla której biedny Mak życie stracił i ofiarował się przypuścić mnie do spółki jeśli tę maszynę zbuduję i postawię w jego fabryce. Skutkiem tego odszedłem sobie i jestem bez posady.

Doskonale — zawołał Brodzki — a więc pojedziesz do Ameryki? Mogę cię zapewnić, że źle na tem nie wyjdiesz. Towarzystwo akcyjne, w którego służbie ja się znajduję, posiada tam wielkie fabryki i chętnie cię przyjmie. No, co?

— Nie odmawiam, lecz pozwól mi się namyślić, — odpowiedział Stefan. — Ameryka, to nie Wrocław. A widzisz ja mam matkę staruszkę.

— Nie namawiam cię, ażebyś na zawsze udawał się tam — rzekł na to przyjaciel. — Jedź na kilka lata. W tym czasie dorobisz się, bo towarzystwo płaci dobrze a potem możesz powrócić. Cóż to, w wieku pary, elektryczności, telefonów nie może być mowy o odległości. Ośm dni trwa tylko podróż morzem. Gdyby było potrzeba, możesz przyjechać. Nie żałuj tej starej Europy i jedź a jednym zamachem strząsniesz ze siebie bolesne wspomnienia przeżytych cierpień i przykrości i zaczniesz nowe życie.

Wilkus słuchał tych słów i jakkolwiek tego jeszcze nie wypowiedział, wszelako w istocie postanowił przyjąć posadę w Ameryce. Brodzki ma słuszność: czego żałować?

Jedynie wzgląd na matkę, która pozostanie sama, jak kulek w płocie, utrudnia sprawę. Ale Brodzki tak trafnie rzecz przedstawia, tak rozumnie przemawia, że trudno mu się oprzeć.

— Przy matce tak czy tak być nie możesz — mówi. — Teraz też matka jest sama i tym sam. Chodzi więc tylko o większą odległość. A zważ tylko, że tam otwiera się wielka przyszłość dla ciebie, tam zdolności twoje lepiej ci się opłaca, aniżeli tutaj. Jesteś młody, więc gdy popracujesz kilka lat, dobijesz się majątku.

— Ale Władku — przerwał Stefan — każdy człowiek ma przede wszystkim obowiązek w własnym kraju i wśród rodaków pracować. Mianowicie potrzeba tego Polakom. Cóżby wynikło z tego, gdyby wszyscy, co chcą i potrafią pracować, wyjeżdżali do obcych?

— Słusznie — odrzekł Brodzki — ale ja też cię nie namawiam, ażebyś na zawsze kraj opuścił. I ja kocham mój naród i chcę dla niego pracować. Lecz powiedz, czy to krajowi przysporzy korzyści, gdy ty naprzykład temu żydowi Glasowi służysz? Dziś służysz jemu, jutro innemu żydowi, i tak lata całe będziesz służył, a niczego się nie dorobisz, bo tu licho płacą. Chwytaj więc lepszą sposobność, ażeby się dorobić i jedź do Ameryki. Nabędziesz doświadczenia, poznasz świat, zgromadzisz pieniądze, a potem wracaj do kraju i pracuj tem dzielnie dla dobra własnego i dla dobra współbraci.

Wilkus nie opierał się i po chwili namysłu rzekł:

— Niech się dzieje wola Boża, pojedę.

— Brawo! — zawołał Brodzki. — Jestem pewny, że nie pożałujesz tego i znajdziesz za morzem szczęście i majątek.

### 11. Ucieczka małego Józefa.

Ksiądz proboszcz postarał się o uwolnienie Józefa Maka ze szkoły. Władza szkolna nie opierała się temu, raz dla tego, ponieważ chłopiec bardzo dobrze się uczył i już od trzech lat w najwyższym siedział oddziale, a powtóre, ponieważ nauczyciele i inspektor szkolny chcieli przez to Makowej ulżyć.

Postanowiono oddać go w naukę do kupca Rękawika.

Mały Józef usłysawszy o tem, zasmucił się wielce, bo w czem innym miał upodobanie i do kupiectwa nie czuł chęci. Matka nie odrazu też zgodziła się na oddanie synka do Rękawika, albowiem i jej życzeniem było, ażeby syn księdzem został.

Lecz, gdy ksiądz proboszcz wyliczył jej, jakby to wiele kosztowało, ileby syn naciępieć się musiał biedy, zanimby szkoły skończył, odstąpiła od swojego zamiaru i poddała się temu, co jej doradzano.

Ale serce jej się zasmuciło i tuląc swojego Józefka do piersi, mówiła:

— Ach, jakże chętnie widziałabym cię przy ołtarzu, mój synku! Jakażby to dla mnie była radość! Większego szczęścia nie mogę sobie wyobrazić.

Lecz skoro to jest rzeczą niepodobną, poddajemy się losowi. Nieprawda, Józefku, ty nie będziesz płakał, ani się smucił.

Chłopcu łzy spływały z pod powiek, ale ażeby matki nie smucić, otarł je szybko i odpowiedział:

— Nie mateczko, nie będę płakał.

Lecz wtem Jadwisia, która widziała jego łzy zdradziła go przed matką, wołając:

— On już płacze.

Matce ścisnęło się serce. Przycisnęła syna do serca i rzekła wzruszona:

— Nie płacz, Józefku, nie płacz. Poddajemy się zupełnie woli Bożej. Jeżeli Bóg przeznaczył cię do Swojej służby, z pewnością cię to nie minie, mimo trudności, jakie dzisiaj zachodzą. Ufaj Bogu, On jest ojcem i opiekunem sierot. Niechaj z tobą uczyni podług świętej woli Swojej.

Józefek cicho płakał jeszcze nieraz nad swoim losem, ale matka nigdy tego nie słyszała i zaczęła przypuszczać, że już się całkiem uspokoił.

Od Nowego Roku zaczął naukę u kupca Rękawika. Miał on w swoim sklepie wszystko, czego mieszkańcy wioski potrzebowali. Sklep nie był wielki a trzeba go było nazwać tylko samodzielnym kupcem, bo dawniej był robotnikiem, ale dorobiwszy się, założył sklep i dobrze mu się powodziło. Przez doświadczenie długoletnie nabył wprawy kupieckiej jak uczonego kupiec, a że rozum miał dobry, umiał sobie radzić. Był bardzo pracowity i oszczędny; towary miał dobre, ceny rzetelne, więc ludzie chodzili do tego sklepu, jak pszczoły do ula.

Od pierwszego dnia, gdy Józefek wstąpił do nauki, musiał pracować ciężko, jak na jego młode lata. Wszyscy zwalali robotę najcięższą na niego, szczególnie dwaj kupczykowie. Nadbiło im to, że uczeń był, bo wyręczali się nim chętnie, a popychali przy każdej sposobności.

Biedny Józef, przywykły w domu do łagodnego obchodzenia, czuł się bardzo nieszczęśliwy. Jednakże ile razy matka pytała go, jak mu się podoba, nie żalił się na nic, bo nie chciał jej martwić. Znosił cierpliwie wszystko, co na niego spadało i mówił sobie, że tak musi być.

Rękawik nie wiedział o udręczeniach Józefka, a chłopiec nie śmiał się przed nim na swoich prześladowców poskarżyć. Tem mniej zaś miał do tego odwagi, ponieważ głównie byłby się musiał skarżyć na żonę kupca, Rękawikową.

Była to niewiasta bardzo gadatliwa i zła. Sam mąż musiał znosić od niej wiele zła. Rękawik, jakkolwiek był energicznym, wobec żony tracił wszelką energję i słusznie mówili ludzie, iż ona wszystkiem rządzi.

Państwo Rękawikowie nie mieli dzieci. Być może, że właśnie dla tego Rękawikowa nie potrafiła obchodzić się z Józefem łagodnie, ponieważ nie pojmowała, iż dobrocią i delikatnością o wiele lepiej się wychowuje dzieci, aniżeli nadmierną surowością.

Ciężki krzyż spadł na biednego Józefka. Nie usłyszał on prawie nigdy łagodnego słowa, a nie mając tu w nikim życzliwego człowieka, czuł się niezmiernie nieszczęśliwym. Ile leż przelał w nocy, gdy go nikt nie mógł widzieć, ani słyszeć, ile westchnień posłał do Boga, ażeby się to zmieniło, Bóg jeden tylko wiedział.

Skutkiem takiego losu z cichego i pokornego chłopca stał się trwożliwym i bojącym lu-

dzi. Czuł się najszcześliwszym, gdy zamykał wieczorem drzwi sklepu, bo wtedy kończyła się jego męka.

Nadmierna praca osłabiła go wielce; z policzków zniknęły mu rumieńce, oczy stały się smutne, cała postać jego sprawiała wrażenie wielkiego przygnębienia. Matka niewidoma nie mogła zobaczyć tych zmian, a chłopiec nigdy się nie skarżył przed nią, ani przed nikim. Chciał przetrzymać ciężkie czasy, przypuszczając, że ciągle one trwać nie mogą.

Lecz tydzień mijał za tygodniem, a w położeniu jego nic się nie zmieniło; ciągle ta sama robota i to same nękanie. Nieraz czuł się tak słabym, iż zdawało mu się, że nie wytrzyma i upadnie. Ale chłopiec krzepił się, jak mógł i trwał wielkim wysiłkiem woli w okropnym położeniu.

Przed kimby się był miał zażalić i komu serce otworzyć? Przed Rękawikiem i jego żoną nie, a obaj jego towarzysze, dwaj kupczykowie, widzieli w nim konia roboczego, na którego usiłowali zwałić tyle roboty, ile się tylko dało. Józef nie zauważył u nich nigdy współczucia, ani nie usłyszał słowa dobrego, chociaż niepodobieństwem było, ażeby nie byli mieli widzieć, jak często pani Rękawikowa nad chłopcem bez przyczyny i niesłusznie się znęcała.

W smutku i przygnębieniu upływały Józefowi dni a znikąd nie miał pociechy. Bóg jeden mu pozostał i do Niego też myśl chłopca ulatywała często i z niezmiernem zaufaniem.

Pewnego wieczora, gdy sklep już miał zostać zamknięty, zawierał Józefek okiennice i zakładał żelazne wrzeciędzie przed nie. Należało to do jego obowiązków a ile razy to robił, cieszył się w duszy, bo kończyła się jego ciężka niewola i od tej chwili aż do rana nikt się nad nim nie znęcał. Potem udawał się bowiem do małej izdebki za sklepem, gdzie stało jego liche łóżko i gdzie mieszkał sam jeden między miechami z mąką, solą, kawą, beczkami z naftą, śledziami, octem i innymi towarami. Dwaj jego towarzysze mieszkali w innej izbie, ale tak małej, że miejsca na trzecie nie było. Umieszczono go zatem w izbie pełnej zaduchu, ale Józef czuł się tu najszcześliwszym i najswobodniejszym.

Owego dnia zamknął Józef drzwi a potem postawiwszy stołek na środku sklepu, wszedł nań, aby zgasić lampę. Gasił ją co wieczór w ten sposób. Dzisiaj jednak, gdy już ją miał zamknąć, uczuł, że stołek się chylił a on spada. Myśląc o ratunku, uchwycił się lampy, a wtem lampa urwała się od posowy i z ogromnym hukiem spadła na ziemię. Józefowi udało się zeskoczyć bez szwanku, lecz nafta z rozbitej lampy się zapaliła i buchnęła płomieniem.

— Gore, gore — krzyknął Józef, wybiegając do sieni.

Rękawik wypadł na ten okrzyk z przyległej izby do sklepu i spostrzegłszy, co się dzieje, porwał kilka próżnych miechów i przydusił z łatwością ogień, który nie mógł się rozszerzyć.

Wszystko to nie trwało dłużej nad kilka minut i oprócz stłuczonej lampy i zniszczonych miechów straty większej nie było.

Rękawik był też tyle wyrozumiały, że burknawszy coś przez zęby, dalszych zarzutów Józefowi nie czynił. Natomiast Rękawikowa zaczęła wygadywać:

— Ten łotr nas spali. Ale to tak bywa. Człowiek przygarnie takiego nicponia, daje mu ży-

cie, a ten zamiast wdzięczności, tak się odplaca. O ty bisurmanie.

Józef w pierwszym strachu uciekł był do izby, gdzie sypiał. Był jak nieprzytomny i nie wiedział, co się z nim dzieje. Trząsł się cały, jak w febrze. Oparłszy się o miechy, czekał, co się dalej stanie; jego wzurzona wyobraźnia widziała płonący cały dom i siebie samego w ogniu — Boże, Boże... — jęczał biedny chłopiec płacząc.

Gdy usłyszał głos pani Rękawikowej przeszedł go mróz po całym ciele. Bezwiednie odsunął się dalej od drzwi na środek izby i słuchał drżący, jak słucha goniona zwierzyzna, czy kroki myśliwców się zbliżają.

— Gdzie ten niepoń się schował? — krzyczała Rękawikowa. — Choćby się w myszą dziurę schronił, ja go z niej wyciągnę i zbiję na kwaśne jabłko.

Józef usłyszał szelest przy drzwiach. Ogarnęła go rozpacz. Nie zastanawiając się, podbiegł do okna, otworzył je szybko i wyskoczył na dwór.

Zahaczywszy się o ramę okna, upadł i skaleczył sobie twarz, lecz nie czuł bólu, bo ogarnęła go taka trwoga przed Rękawikową, iż zagłuszyła w nim wszelkie inne uczucie.

Zerwawszy się czempredziej na równe nogi, zaczął biedz przed siebie, nie zdając sobie sprawy, dokąd biegnie. Byle uciec i schronić się przed tą straszliwą niewiastą, gotów był pędzić jak najdalej i w najczarniejszą otchłań.

Noc jednak była jasna, bo księżyc świecił na niebie. Tym sposobem uciekający chłopiec uniknął niejednej przygody i natrafiwszy na drogę, uciekał co siłą.

Na dworze było mroźno. Marzec wprawdzie już dobiegał końca, lecz jeszcze królowała zima na ziemi. Późno się tego roku zaczęła, więc dłużej trwała. Zdarzały się naprawdę dni cieplejsze, słońce za dnia topiło wolno warstwy śniegu, lecz pod wieczór zawsze mróz wolno wzrastał i trzymał się aż do południa dnia następnego. Ponieważ jednak wiatru nie było, zimno mniej się dawało we znaki.

Cobądźby jednak było, czy mróz trzaskający czy ślota, Józef nie byłby w tem usposobieniu w jakim się znajdował. Niczego zauważył, bo nie czuł ani mrozu, ani wiatru, uciekał tylko trwogę przed krzyczącą i odgrajającą się Rękawikową. Uciekał, ażeby się przed nią schronić.

Zdala czerniał las. Józef widział go i dążył ku niemu dla tego, jakoby wiedział, że to jest las, w którym jest ciemność, w której zginie dla oka Rękawikowej. Byle tylko uciec.

Gdy jednak dobiegał do lasu i chciał zwolnić biegu, uczuł nagle wielką słabość w całym ciele, w oczach mu pociemniało, w głowie uczuł zawrót i upadł na ziemię.

Zdawało mu się, że czarne chmury ogarniają go ze wszystkich stron. Kłębią się i przewalają, jak fale morza. Tedy owedy zabłysnęły wśród nich ogień i zniika, jak piorun w czasie burzy. Szum niezmierny nęka jego słuch; zdaje mu się, że cała puszcza leśna wyje, słyszy głosy zwierząt czy potworów, jęki okropne i płacze mieludzkie...

Nagle wszystko ustaje, Józef otwiera oczy o widzi przed sobą ojca nieboszczyka, jak z skrzwawioną piersią stoi przed nim. Jest okropnie blady i oczy ma zamknięte. Lęk przejmuje serce chłopczyny.

— Tatusiu! — woła i traci przytomność.

## 12. Rozpacz matki.

Nazajutrz Rękawik zdziwił się bardzo, gdy Józefa nie zobaczył w sklepie. W przekonaniu, że chłopiec przelakłszy się wczoraj, schował się gdzieś i niezawodnie zasnął, czekał aż się zjawi. Skoro jednak południe nadeszło a Józefa nie było, polecił kupczykowi szukać go w całym domu, od piwnic aż do strychu. Poszukiwania jednak pozostały bez skutku.

Zaniepokoiło to kupca i odezwał się do żony:

— Niepotrzebnie postraszyłaś chłopca. Przepadł gdzieś i może mu się jakie nieszczęście stało.

— Ej, zaraz tam nieszczęście, — odburknęła Rękawikowa. — Chłopiec uciekł do klasztoru, ażeby się przed matką na nas poskarżyć, bo to przecie „mamy synek“ Bądź spokojny, jestem pewna, że niebawem go zobaczymy. Com mu obiecała, to go nie minie.

— Dałabyś już spokój z tem, — odpowiedział cichym głosem Rękawik.

— Jak go teraz nie ukarżemy — krzyknęła na to rozgniewana kobieta, to na drugi raz spali nam chałupę.

Kiedy jednak wieczór nadszedł a Józefa nie było, zaczęła i Rękawikowa uczuwać pewną trwogę w sencu. Pocieszała się jednak, pomrukując:

— Chłopiec ma strach, a matka go pieści. Jutro jednak z pewnością wróci.

Lecz i jutro minęło a Józef nie wrócił.

Rękawik nie miał spokoju. Zabrał się przeto i poszedł do klasztoru.

Po drodze rozważał, co Makowej powie i był w pewnem zakłopotaniu, jak jej wytłómaczy przyczynę ucieczki syna.

Gdy przybył do bramy, zapytał furtjanki:

— Wszakże tu jest Józef Mak, syn wdowy po robotniku Maku, który się u mnie uczy.

— Niema go tutaj — odrzekła furtjanka, — przynajmniej ja go nie wpuszczałam.

Rękawik przelakł się jeszcze bardziej i rzekł:

— Ale ja jestem pewny, że jest od wczoraj u swojej matki.

— Jeżeli chcecie, pójdę zobaczyć i dowiedzieć się u samej Makowej.

To powiedziawszy odeszła. Zaledwie jednak kilka kroków uszła, gdy Rękawik pospieszył za nią i tak się odezwał:

— Proszę się dowiedzieć w niepodpadający sposób, ażeby Makowej nie trwożyć, jeżeli Józefa tu niema.

— Dobrze, dobrze — odpowiedziała furtjanka i odeszła.

Niebawem wróciła i oznajmiła czekającemu, że Makowa widziała syna po raz ostatni w niedzielę. Ani wczoraj, ani dzisiaj chłopca tu nie było.

Rękawik zakłopotał się niemało i pochwalwszy Pana Boga wyszedł z klasztoru.

— Co się stało z chłopcem? Gdzieby go jeszcze szukać? Co mi też ta kobieta narobiła nieprzyjemności!

Przyszło mu na myśl, że może ksiądz proboszcz opiekujący się sierotami po Maku, będzie coś wiedział o Józefie.

Ksiądz proboszcz zatrwożył się, wysłuchawszy opowiadania Rękawika.

— Dokąd chłopiec mógł się udać? Może do brata starszego w mieście?

— Tak, niezawodnie, — odrzekł na to Rękawik, — zaraz udam się tam.

— A proszę mi dać znać, — prosił ksiądz proboszcz na odjeździe.

Kupiec nie wrócił do domu, lecz najawszy konie, pojechał do miasta i stanął przed fabryką Glasa.

Przez odzwiernego kazał wywołać Franka Makę z fabryki. Gdy Franek nadszedł, zapytał go się, czy brat jego Józef od wczoraj u niego przebywa?

— Nie widziałem brata od przeszłej niedzieli, gdyśmy razem matkę w klasztorze odwiedzili. Czy niema go u was? Czy uciekł?

— Tak jest, odparł Rękawik, wczoraj stłukł mi lampę przy zamykaniu sklepu i o mało nie spalił sklepu. Żona moja odgrażała się, że go wybije...

— Oho, panie Rękawiku, — zawołał Franek — nas rodzice nigdy nie bili!

— Widocznie Józef przeląkł się — mówił kupiec dalej — uciekł oknem i do tego czasu nie wrócił.

— Co się z nim mogło stać? — zawołał Franek. — Może gdzie padł i zmarł. O, panie Rękawiku, jeżeliście mi brata zatracili.

— Jam nie winien, że uciekł. Po co uciekał? bronął się kupiec.

— Musimy go szukać — zawołał Franek. — Trzeba dać znać policji. Może już nie żyje biedny mój brat. Może go zabili, jak ojca.

Tu Franek zaczął płakać, lecz niebawem uspokoił się i rzekł:

— Niech pan natychmiast zamelduje całą sprawę na policji. Zwolnię się z pracy i polecę do matki. Ach, ona biedna, gdy się dowie, jakąż boleść przeszyje jej serce. Spieszę, ażeby być przy niej.

Tymczasem po wsi rozeszła się szybko wieść o zniknięciu Józefa. Wszyscy biadali nad jego losem, ponieważ chłopiec, dla każdego grzeszny, umiał sobie ludzką przyjaźń zyskiwać. Oczywiście ludzie opowiadali sobie straszniejsze rzeczy, aniżeli były; mianowicie, że Rękawikowa chłopca bardzo wybiła i skaleczyła, że skutkiem tego uciekł i niezawodnie z ran gdzieś maronie zginął.

Do klasztoru doszła wiadomość o nieszczęściu wnet. Zaledwie Rękawik się oddalił, przybyła pewna kobieta z sąsiedztwa, co po wsi mówiono. Zrazu nie dowierzano jej opowiadaniu, skoro jednak furtjanka wspomiała, że pan Rękawik przyszedł się o Józefa pytać, przekonano się, iż ludzie mówią prawdę a Józef zginął bez śladu.

Biedna Makowa! — mówiły Siostry Miłosierdzia, — dopiero co straciła męża w tak okropny sposób, a teraz znowu syna.

I starały się o zatajenie okropnej wiadomości przed Makową, jak tylko długo będzie można.

Zapomniały, że jest jeszcze ktoś, który dowiedział się o losie Józefa, natychmiast Makowej o wszystkim powie, zapomniały o małej Jadwisi.

Wnet im się jednak ta mała sierotka przypomniała, bo nagle usłyszano okropny płacz przy bramie, a gdy ją otworzono, wbiegła rozplakana Jadwisia i udała się do izby matki.

Makowa zajmowała małą izbę w klasztorze razem z córką. Ubogo w niej było, ale czysto i zacisznie. Okna izby wychodziły na ogród klasztorny.

Wdowa siedziała przy zwykłej swojej pracy, przy robieniu pończoch i szeptała przy tem ró-

żaniec, gdy nagle usłyszała płacz Jadwisi. Zerwawszy się z krzesła, podeszła ku drzwiom i otworzyła je szybko. W tej chwili nadbiegła Jadwisia.

— Matko, matko...

— Co ci się stało, moje dziecko, — zawołała Makowa.

— Józef zginął — zawołała dziewczynka.

— Jakto zginął, gdzie zginął.

— Rękawikowa chciała go wybić, bo stłukł lampę, a on ze strachu uciekł i zginął.

— Pewnie się tylko gdzie schował i nie długo wróci, — uspokajała się matka.

— Już go dwa dni niema, wszędzie go szukają. Ludzie mówią, że się utopił.

Matka drgnęła i położyła rękę na sercu, które zaczęło jej bić gwałtownie.

— Ach Józciu, Józciu... płakało dziewczę.

— Uspokój się Jadwisiu, — pocieszała ją matka, zobaczysz, że Józef wróci.

Wtem ktoś zapukał do drzwi; to Siostra Przełożona weszła z Frankiem.

— Nie rozpaczajcie, Makowa — odezwiała się łagodnym głosem — chłopiec się niewątpliwie znajdzie.

Makowej ścisnęło się serce boleśnie, lecz nie dała tego po sobie poznać, owszem pocieszała się jeszcze Jadwisię i rozmawiała z Frankiem spokojnie, wypytyując go o szczegóły.

Wszyscy pocieszali się tem, że Józef się znajdzie.

Gdy jednak upłynął tydzień i drugi, a mimo najpilniejszych poszukiwań policji i żandarmów żadnego śladu Józefa znaleźć nie było można, w sercu matki zapanowała boleść niezmierna i rozpacz zaczęła ją nękać.

Rana zadana niedawną śmiercią męża jeszcze się nie zablźniła, a oto strata syna ukochanego ranę tę jeszcze pogłębiła. Jakkolwiek Makowa wszystkie swoje dzieci równą kochała miłością, wszelako Józefek najdroższy jej był dla pobożności, jaką okazywał. Teraz dopiero w całej pełni poznała, jak bardzo go miłowała.

Czyż więc rzeczą było dziwną, iż boleść po tej stracie zmogła tę mężną niewiastę i rzuciła na łożo boleści. Makowa zachorowała ciężko, a leżąc w malignie zdradziła się ze swej wielkiej rozpacz. Co kochające jej serce czuło i przed ludźmi kryło, to choroba objawiła. Myśli chorej nie oddalały się ani na chwilę od najdroższych sercu osób, które straciła; od męża i syna. Ciągłe tylko o nich mówiła; to ich widziała żywych, to martwych, to rozmawiała z nimi, to płakała rzewnie.

Przez dwa tygodnie była między życiem a śmiercią i gdyby nie troskliwa opieka lekarza i Sióstr, kto wie, czyby była chorobę przetrwała.

Gdy nakoniec przesilenie nastąpiło i Makowa odzyskała przytomność, pierwszym pytaniem jej było:

— Czy Józef się znalazł?

— Bóg go wam wróci? — odpowiedział na to obecny ks. proboszcz — nie rozpaczajcie! Gdzie ludzka moc się kończy, tam się Boska zaczyna. Ufajmy Mu.

— Bóg mi go wróci! — powtórzyła chora; — Bóg mi go wróci. Oby wrócił, jak najprędzej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Drukiem druk. Dziennika Pomorskiego, Chojnice.  
Redaktor odpow. w z. Maksym. Ossowski, Czersk  
Wydawca Juljusz Schreiber, Chojnice.